Serce nie pracuje zdalnie

Kilometry można pokonać.
Niedopowiedzenia zostają



Laura Bellini

Serce nie pracuje zdalnie

Kilometry można pokonać.
Niedopowiedzenia zostają

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384905821

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Człowiek po drugiej stronie głosu 10
Rozdział 2 - Zanim ustalimy zasady 21
Rozdział 3 - Między dwoma miastami 36
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie wpisuje się w kalendarz 47
Rozdział 5 - Granice, które warto znać 61
Rozdział 6 - Nie wszystko da się przemilczeć 70
Rozdział 7 - Dzień po dniu, coraz bliżej 81
Rozdział 8 - W jego świecie 90
Rozdział 9 - Ryzyko wspólnego głosu 101
Rozdział 10 - Poza zasięgiem rozsądku 112
Rozdział 11 - Poranek bez scenariusza 123
Rozdział 12 - Miejsce, którego nie chcę oddać 131
Rozdział 13 - Cena wspólnych planów 141
Rozdział 14 - To, czego jeszcze nie powiedzieliśmy 151
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie można przesunąć 164
Rozdział 16 - Kiedy odległość przestaje wystarczać 177
Rozdział 17 - Życie, które trzeba wybrać samemu 190
Rozdział 18 - Pierwszy krok bez obietnic 200
Rozdział 19 - Kilometry, które pokonujemy razem 212
Rozdział 20 - Własne miejsca, wspólne życie 225

INTRO

Gdańsk, poniedziałek, 7:18.

Deszcz zacinał o wysokie okna niewielkiego biura, które od trzech tygodni nazywałam swoim miejscem na ziemi. Nie było jeszcze urządzone tak, jak chciałam. Na jednej ścianie wisiały próbki papieru, na drugiej trzy wersje projektu identyfikacji wizualnej, a pod biurkiem stały kartony z rzeczami, których nie zdążyłam rozpakować. Ekspres do kawy działał tylko wtedy, kiedy miało się do niego odpowiednio dużo cierpliwości. Mimo wszystko lubiłam tu przychodzić. Każdy przedmiot przypominał mi, że tym razem nie urządzałam przestrzeni dla kogoś innego. Budowałam coś własnego.

Miałam dwadzieścia dziewięć lat, kilka lat doświadczenia w projektowaniu identyfikacji wizualnej i coraz mniej ochoty na udowadnianie komukolwiek, że potrafię pracować bez nadzoru. Przeprowadzka do Gdańska nie była ucieczką ani romantycznym kaprysem. Była decyzją zawodową. Chciałam rozwinąć własną pracownię, wybierać klientów i projekty, które naprawdę mnie interesowały, a przede wszystkim przestać traktować własne ambicje jak coś, na co mogę sobie pozwolić dopiero po spełnieniu cudzych oczekiwań.

Mój plan na najbliższe miesiące był prosty. Dokończyć dwa zlecenia, ustabilizować dochody, zdobyć kilka nowych kontaktów i nie brać na siebie niczego, co wymagałoby ode mnie ciągłego podróżowania. Miałam już wystarczająco dużo pracy, żeby nie musieć szukać dodatkowych zajęć. A przynajmniej tak sobie powtarzałam, kiedy o siódmej rano

otwierałam skrzynkę pocztową i znajdowałam kolejną wiadomość z tematem oznaczonym jako PILNE.

Tego ranka czekała na mnie oferta, którą początkowo zamierzałam odrzucić.

Projekt dotyczył nowej serii podcastów. Nie chodziło o zwykłe zaprojektowanie okładki i kilku grafik do mediów społecznościowych. Zlecenie obejmowało pełną identyfikację wizualną, system materiałów promocyjnych, oprawę kolejnych odcinków i współpracę z twórcą odpowiedzialnym za koncepcję oraz realizację. Projekt miał trwać kilka miesięcy, a jego budżet był na tyle rozsądny, że nie mogłam udawać, iż nie robi na mnie wrażenia.

Był tylko jeden problem.

Twórca mieszkał we Wrocławiu.

Przeczytałam wiadomość jeszcze raz, zatrzymując wzrok na nazwisku: Florian Wrona. Znałam je z krótkiego opisu projektu, ale niewiele więcej mogłam o nim powiedzieć. Nie miałam zwyczaju sprawdzać dokładnie każdego człowieka, z którym potencjalnie mogłam pracować. Wolałam najpierw zobaczyć, jak komunikuje się zawodowo. To zwykle mówiło mi więcej niż starannie przygotowane profile w internecie.

Otworzyłam załącznik. W środku znalazłam harmonogram, wstępny opis koncepcji i link do nagrania demonstracyjnego. Założyłam słuchawki, nacisnęłam odtwarzanie i sięgnęłam po kawę.

Najpierw usłyszałam kilka sekund ciszy, potem charakterystyczny szelest przesuwanego papieru.

— Są miejsca, które zostają z człowiekiem znacznie dłużej niż ludzie, z którymi je odwiedzał.

Głos był spokojny, niski, pozbawiony radiowej przesady. Miał w sobie coś, co sprawiało, że chciało się słuchać dalej, nawet jeśli wypowiadane zdanie nie obiecywało żadnego przełomu. Florian mówił wyraźnie, ale nie mechanicznie. Czasami robił krótkie przerwy, jakby pozwalał słuchaczowi samodzielnie dopowiedzieć resztę.

Przewinęłam nagranie do początku i wysłuchałam fragmentu jeszcze raz.

Nie zamierzałam wyciągać wniosków na temat człowieka na podstawie jego głosu. Miałam jednak zawodowy nawyk zwracania uwagi na szczegóły, a ten głos był jednym z nich. Pasował do projektu, choć nie w oczywisty sposób. Nie próbował niczego sprzedawać. Nie zabiegał o uwagę. Po prostu ją otrzymywał.

Na końcu nagrania pojawiła się krótka informacja techniczna, a zaraz potem jego własny komentarz.

— Jeśli będziemy nad tym pracować, zależy mi na tym, żebyśmy nie robili wszystkiego przez ekran. Wiem, że to wygodne, ale niektóre rzeczy lepiej ustala się przy jednym stole.

Zdjęłam słuchawki.

Właśnie tego nie chciałam. Nie kolejnej współpracy, w której słowo „elastyczność” oznaczało, że to ja mam być dostępna w dowolnym miejscu i czasie. Nie chciałam spędzać połowy miesiąca w pociągach, przesuwać terminów innych klientów ani tłumaczyć, dlaczego nie mogę przyjechać do Wrocławia na spotkanie, które równie dobrze dałoby się przeprowadzić online.

Otworzyłam kalendarz. Najbliższe tygodnie były już wypełnione terminami, które sama wybrałam. W piątek miałam spotkanie z drukarnią, w przyszłym tygodniu

prezentację dla nowego klienta, a za dwa tygodnie chciałam wreszcie poświęcić cały weekend na przygotowanie własnego portfolio. Każdy z tych punktów był częścią planu, który kosztował mnie sporo pracy.

Nie zamierzałam rezygnować z niego dla jednego atrakcyjnego zlecenia.

A jednak nie zamknęłam oferty.

Wróciłam do nagrania i zaczęłam analizować sposób, w jaki Florian prowadził narrację. Niektóre fragmenty były świetne, inne wymagały zdecydowanej redakcji. Miał wyczucie rytmu, ale momentami zbyt długo zatrzymywał się przy jednym obrazie. Nie brakowało mu pomysłów. Brakowało mu kogoś, kto potrafiłby nadać im spójną formę.

To akurat umiałam zrobić.

W południe odpisałam na wiadomość, proponując krótką rozmowę online. Zaznaczyłam, że mogę odpowiadać za całość identyfikacji, ale chcę ustalić zakres obowiązków, sposób podejmowania decyzji i realny harmonogram spotkań. Dodałam też, że moja pracownia znajduje się w Gdańsku i nie planuję zmieniać miejsca pracy na czas projektu.

Wysłałam wiadomość z poczuciem, że zachowałam wszystkie istotne granice.

Odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewałam.

„Dzień dobry, pani Ofelio. Dziękuję za konkretną wiadomość. Zgadzam się co do zakresu i harmonogramu. Chciałbym jednak, żebyśmy zaczęli od spotkania na żywo. Mogę zaproponować środę we Wrocławiu. Wiem, że to oznacza podróż, ale chciałbym pokazać pani coś, czego nie da się dobrze przedstawić w załączniku. Florian”.

Przeczytałam ostatnie zdanie dwa razy.

Coś, czego nie da się dobrze przedstawić w załączniku.

Miałam ochotę odpisać, że praktycznie wszystko da się przedstawić w załączniku, jeżeli ktoś odpowiednio się do tego przyłoży. Zamiast tego odsunęłam laptop i podeszłam do okna. Na ulicy ludzie mijali się pod parasolami, niektórzy szli szybko, inni zatrzymywali się przy przejściu, sprawdzając telefony. Gdańsk wyglądał jak miasto, które nie zamierzało nikogo przepraszać za pogodę.

Pomyślałam o Wrocławiu. O dworcach, przesiadkach, godzinach spędzonych w pociągu i o tym, jak łatwo można stracić cały dzień na spotkanie, które miało trwać czterdzieści minut.

Potem przypomniałam sobie głos z nagrania.

Nie wiedziałam, dlaczego właśnie to zdanie wracało do mnie częściej niż pozostałe. Być może dlatego, że sama od dawna próbowałam rozdzielać miejsca od ludzi. Przekonywałam siebie, że można mieć własne życie, własną przestrzeń i własne zasady, a jednocześnie pozostawać otwartą na nowe doświadczenia. Tyle że otwartość nie oznaczała dla mnie zgody na nieustanne przesuwanie własnych granic.

Wróciłam do biurka i jeszcze raz spojrzałam na wiadomość.

Odpisałam krótko: „Środa jest możliwa. Proszę przesłać godzinę i adres".

Nie była to deklaracja, że projekt już należy do mnie. Nie była też obietnica, że podporządkuję mu swój kalendarz. To miało być jedno spotkanie. Jedna podróż. Jeden człowiek, którego dotąd znałam wyłącznie z nazwiska i głosu.

Kiedy zamykałam laptop, telefon zawibrował. Nowa wiadomość od Floriana zawierała tylko godzinę, adres studia nagraniowego i dopisek:

„Postaram się, żeby warto było przyjechać".

Uśmiechnęłam się, choć nie byłam pewna, czy bardziej rozbawiła mnie jego pewność siebie, czy to, że zaczęłam się zastanawiać, jaki będzie, kiedy przestanie mówić do mikrofonu.

Za oknem deszcz wciąż padał, a na moim biurku leżał kalendarz z dokładnie rozpisanym planem najbliższych miesięcy. Wszystko miało swoje miejsce, termin i uzasadnienie. Wiedziałam, dokąd jadę, po co pracuję i czego nie zamierzałam oddawać.

Nie wiedziałam tylko, dlaczego myśl o środzie we Wrocławiu zaczęła zajmować w mojej głowie znacznie więcej miejsca, niż powinna.

I czy potrafiłabym rozpoznać moment, w którym zwykła zawodowa ciekawość przestaje wystarczać jako powód, żeby do kogoś wracać.

Rozdział 1 - Człowiek po drugiej stronie głosu

Wrocław, środa, 10:42.

Pociąg dotarł na Dworzec Główny z siedmiominutowym opóźnieniem, co uznałam za umiarkowanie dobry początek dnia. Nie lubiłam podróży, których powodów nie potrafiłam zamknąć w jednym zdaniu. Ta miała być spotkaniem zawodowym, więc teoretycznie nie było w niej nic skomplikowanego. Przyjechałam, żeby poznać klienta, zobaczyć materiały i ocenić, czy warto przyjąć zlecenie. Wieczorem miałam wrócić do Gdańska. Następnego dnia zamierzałam pracować przy własnym biurku, z kawą, której smak znałam, i bez konieczności sprawdzania rozkładu pociągów.

Przez ostatnie dwadzieścia minut podróży zdążyłam trzy razy przejrzeć wiadomości od Floriana. Nie było ich wiele. Adres studia, numer telefonu i krótka informacja, że będzie czekał przy wejściu. Żadnych dodatkowych instrukcji, żadnego przesadnego entuzjazmu. Ostatnia wiadomość przyszła jeszcze rano.

„Jeśli będzie pani miała problem z odnalezieniem budynku, proszę zadzwonić. Wejście jest trochę niepozorne”.

Niepozorne wejście nie było dla mnie szczególnym wyzwaniem. Znacznie bardziej interesowało mnie to, co znajdę za nim.

Studio mieściło się w odnowionej kamienicy niedaleko Nadodrza. Budynek miał wysokie okna, ciężkie drzwi i klatkę schodową, na której zachowano stare drewniane poręcze.

Na domofonie widniała niewielka tabliczka z nazwą studia. Zatrzymałam się przed nią, sprawdziłam adres i wybrałam właściwy numer.

— Tak?

Głos poznałam natychmiast.

— Ofelia Kruk. Jesteśmy umówieni na dziesiątą czterdzieści pięć.

— Oczywiście. Już otwieram.

Drzwi ustąpiły z krótkim trzaskiem zamka. Weszłam do środka i zdjęłam płaszcz dopiero na półpiętrze, gdzie czekał mężczyzna oparty ramieniem o ścianę. Nie wyglądał jak ktoś, kto zamierzał urządzać oficjalne powitanie. Miał na sobie ciemne spodnie i szarą koszulę z podwiniętymi rękawami. Ciemne włosy układały mu się niedbale, jakby kilka razy przesunął po nich dłonią, próbując doprowadzić je do porządku bez większego przekonania. Był wyższy, niż wyobrażałam sobie na podstawie głosu, a jego twarz miała wyraz, który trudno było nazwać nieprzystępnym. Raczej uważny. Jakby wolał najpierw sprawdzić, z kim rozmawia, zanim zdecyduje, co powiedzieć.

— Florian Wrona — przedstawił się, wyciągając rękę.

— Ofelia Kruk.

Uścisk miał pewny, ale nie demonstracyjny. Zauważyłam też, że nie próbował przedłużać powitania ani przejmować mojej torby.

— Podróż przebiegła bez problemów?

— Prawie. Siedziałam naprzeciwko człowieka, który przez całą drogę oglądał film bez słuchawek.

— W takim razie należy pani współczuć.

— Nie trzeba. Przetrwałam. Mam tylko nadzieję, że pańskie studio oferuje lepsze warunki akustyczne.

Uśmiechnął się lekko.

— Właśnie dlatego zaprosiłem panią tutaj.

Zaprowadził mnie na pierwsze piętro. Studio zajmowało dwa pomieszczenia połączone szerokim przejściem. Pierwsze było niewielkim biurem z dużym stołem, dwoma monitorami i regałem wypełnionym książkami. Drugie mieściło stanowisko nagraniowe. Na ścianach zamontowano ciemne panele akustyczne, a przed mikrofonem stał fotel z wyraźnie wytartymi podłokietnikami. Nie było tu przesadnego porządku, ale nie panował też chaos. Kable zostały uporządkowane, sprzęt opisany, a na stole leżały materiały przygotowane do spotkania.

— Może kawa? — zapytał Florian.

— Chętnie.

— Czarna, z mlekiem?

— Czarna.

— Dobrze. Przynajmniej jedną decyzję mamy już za sobą.

Nie odpowiedziałam od razu. Zauważyłam, że mówił podobnie jak w nagraniu. Spokojnie, bez pośpiechu, ale jego głos na żywo miał więcej odcieni. Nie był tak równy, jak wydawało się przez słuchawki. Kiedy się uśmiechał, niektóre słowa brzmiały cieplej.

Usiadłam przy stole i wyjęłam notes. Nie zamierzałam pozwolić, żeby przyjemny głos zastąpił mi ocenę projektu.

Florian postawił przede mną filiżankę, a następnie uruchomił ekran.

— Zacznijmy od tego, co pani już słyszała. Seria roboczo nazywa się „Miejsca, które zostają". Chcę opowiadać o przestrzeniach, które mają znaczenie dla ludzi. Nie tylko o budynkach czy ulicach, ale o tym, co człowiek z nimi wiąże. O decyzjach, powrotach, wyjazdach i rzeczach, których nie da się zabrać ze sobą.

— Czyli reportaż osobisty?

— Częściowo. Nie chcę robić klasycznego reportażu. Bardziej interesują mnie historie, które zaczynają się od miejsca, a kończą na człowieku.

— A kto będzie bohaterem?

— Ludzie, których zapraszam. Nie celebryci. Nie eksperci od wszystkiego. Osoby, które mają coś do opowiedzenia i potrafią powiedzieć to własnymi słowami.

Przesunął w moją stronę kilka wydrukowanych stron. Były tam krótkie opisy potencjalnych odcinków, fragmenty rozmów i notatki dotyczące dźwięku. Przejrzałam pierwszą stronę, potem drugą. Pomysł miał potencjał, ale forma wymagała pracy. W niektórych miejscach Florian używał zbyt wielu metafor, a w innych pozostawiał informacje bez kontekstu. Mimo to teksty miały charakter. Nie wyglądały jak materiały przygotowane wyłącznie po to, żeby dobrze wypaść w prezentacji.

— Potrzebuje pan identyfikacji, która będzie spójna z treścią, ale nie będzie jej ilustrować dosłownie — powiedziałam.

— Właśnie.

— Nie proponuję pinezek na mapie, fal dźwiękowych ani sylwetek miast.

— Dobrze.

Podniosłam wzrok.

— Tak po prostu?

— Miałem nadzieję, że pani to powie.

— Czyli zaprosił mnie pan, żeby usłyszeć, jak odrzucam pańskie pomysły?

— Nie. Zaprosiłem panią, bo widziałem pani portfolio. Podoba mi się sposób, w jaki buduje pani systemy wizualne. Nie próbuję jednak udawać, że wiem, jak powinna wyglądać ta seria. Gdybym wiedział, nie potrzebowałbym projektantki.

Była to rozsądna odpowiedź. I nieco rozbrajająca.

Otworzyłam kolejną stronę.

— W takim razie proszę powiedzieć, czego pan oczekuje. Nie w sensie estetyki, tylko efektu.

Florian oparł dłonie na stole.

— Chcę, żeby ktoś zobaczył okładkę odcinka i poczuł, że za nią znajduje się prawdziwa historia. Nie chcę nostalgii sprzedawanej w ładnym opakowaniu. Nie chcę też udawać, że każde wspomnienie jest piękne. Niektóre miejsca przypominają ludziom o rzeczach, do których nie chcieliby wracać.

— To już jest znacznie ciekawsze.

— Dlaczego?

— Bo przynajmniej nie próbuje pan zrobić z tego pocztówki.

Spojrzał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

— A pani lubi pocztówki?

— Lubię, kiedy ktoś ma świadomość, że obraz nie musi być ładny, żeby był prawdziwy.

Przez chwilę milczał. Potem przesunął w moją stronę tablet.

— W takim razie chciałbym, żeby usłyszała pani jeszcze coś.

Na ekranie otworzył folder z nagraniami. Nie były to gotowe odcinki, lecz fragmenty rozmów przeprowadzonych podczas wstępnych spotkań. Florian wybrał kilka krótkich plików. Pierwszy przedstawiał kobietę opowiadającą o mieszkaniu, które sprzedała po śmierci matki. Drugi zawierał rozmowę z mężczyzną, który przez trzydzieści lat prowadził niewielki zakład naprawy zegarków. Trzeci był nagraniem z pustego dworca, na którym słychać było przesuwane walizki, komunikaty i kroki.

Słuchałam, nie przerywając. Florian nie patrzył na mnie przez cały czas. Obserwował poziom dźwięku na monitorze i robił krótkie notatki, jakby zależało mu, żebym usłyszała materiał bez dodatkowych komentarzy.

W pewnym momencie zatrzymał nagranie.

— Co pani myśli?

— Że nie powinien pan wszystkiego opowiadać.

Uniósł brwi.

— Słucham?

— W drugim fragmencie kobieta mówi, że nie pamięta, kiedy ostatni raz weszła do tego mieszkania. Potem przez kilka sekund słychać tylko jej oddech. A pan w montażu natychmiast dodaje komentarz, który wyjaśnia, co ona czuje. Nie trzeba tego robić. Słuchacz zdążył już zrozumieć.

Florian przyjrzał mi się uważniej.

— Zgadzam się.

— Naprawdę?

— Tak. To jedna z rzeczy, które sam chciałem poprawić.

— W takim razie dlaczego pan tego nie zrobił?

— Bo nie jestem pewien, czy powinienem sam podejmować wszystkie decyzje dotyczące materiału, kiedy zaczynam współpracę z drugą osobą.

Odchyliłam się na krześle.

— To brzmi rozsądnie, ale może być też wygodnym sposobem na unikanie odpowiedzialności.

Nie obraził się. Wręcz przeciwnie, kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

— Pani zawsze tak szybko ocenia ludzi?

— Tylko kiedy sami dostarczają mi materiału.

— Będę musiał uważać.

— Wystarczy mówić wprost.

Przez kolejne kilkadziesiąt minut omawialiśmy założenia projektu. Pokazałam mu kilka przykładów z własnego portfolio, tłumacząc, dlaczego w niektórych realizacjach używałam typografii jako głównego elementu, a w innych budowałam identyfikację wokół fotografii i charakterystycznej kompozycji. Florian zadawał pytania, które nie były powierzchowne. Chciał wiedzieć, dlaczego wybrałam konkretne rozwiązanie, jakie miało ograniczenia i czy da się je zastosować w różnych formatach.

Podobało mi się, że nie próbował udawać eksperta od mojej pracy.

Nie podobało mi się natomiast to, że co jakiś czas wracał do swojego warunku spotkań na żywo.

— Nie zamierzam przyjeżdżać do Wrocławia co tydzień — powiedziałam w końcu.

— Nie prosiłem o to.

— Ale mówi pan o regularnych spotkaniach w studiu.

— Bo nagrania będą się odbywać tutaj. Chciałbym, żeby przynajmniej podczas ważniejszych etapów projektu była pani na miejscu.

— Mogę pracować z nagraniami. Mogę przesyłać projekty, omawiać je na wideokonferencjach i przyjeżdżać wtedy, kiedy rzeczywiście będzie to potrzebne. Nie potrzebuję siedzieć obok pana, żeby dobrze wykonać swoją pracę.

— Nie twierdzę, że pani potrzebuje.

— W takim razie skąd ten warunek?

Florian odsunął tablet i przez chwilę przyglądał się ekranowi, na którym zatrzymała się fala dźwiękowa.

— Bo podczas nagrań dzieją się rzeczy, których nie da się przewidzieć. Ktoś przynosi fotografię, zmienia temat, pokazuje przedmiot albo opowiada coś, czego nie było w planie. Czasem z tego powstaje najlepszy fragment odcinka. Chciałbym, żeby identyfikacja miała kontakt z tym, co naprawdę robimy, a nie tylko z moimi opisami po fakcie.

— Mogę zrozumieć taką potrzebę. Nie oznacza to jednak, że będę pracowała w trybie ciągłej gotowości.

— Nie oczekuję tego.

— Dobrze, bo nie jestem częścią pańskiego studia. Prowadzę własną pracownię i mam innych klientów.

— Wiem.

— A mimo to chce pan mieć mnie tutaj.

— Chcę mieć osobę, która rozumie projekt. Nie kogoś, kto tylko realizuje listę zadań.

Nie powiedział tego w sposób, który miałby mnie przekonać za wszelką cenę. Raczej jak coś, co uważał za oczywiste. Z jakiegoś powodu właśnie to sprawiło, że przestałam szukać natychmiastowej odpowiedzi.

Spojrzałam na materiały. Było w nich coś, czego nie potrafiłam zignorować. Historie nie były uporządkowane według oczywistego klucza, ale miały wspólny ton. Nie chodziło o miejsca, lecz o to, co ludzie zostawiali w nich, nawet kiedy fizycznie odchodzili. Mogłam zbudować dla tego projektu identyfikację, która nie będzie udawała, że wszystko da się zamknąć w jednej definicji.

— Potrzebuję pełnego dostępu do materiałów — powiedziałam. — Nie tylko tych fragmentów, które uzna pan za gotowe. Chcę zobaczyć surowe nagrania, notatki i strukturę odcinków.

— Oczywiście.

— I nie będę podejmowała decyzji na podstawie pańskiego gustu. Będę proponowała rozwiązania, argumentowała je i oczekiwała, że będzie pan oceniał je w kontekście całego projektu.

— To mi odpowiada.

— Jeszcze nie skończyłam. Nie chcę też, żeby każda zmiana koncepcji oznaczała automatycznie kolejną rundę pracy bez dodatkowego ustalenia zakresu.

— Rozumiem.

Zamknęłam notes.

— W takim razie mamy o czym rozmawiać.

Florian uśmiechnął się tym razem wyraźniej.

— To chyba najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałem.

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego wróciłam do jednego z nagrań. Chciałam jeszcze raz usłyszeć fragment z pustym dworcem. W tle, pomiędzy komunikatami, ktoś śmiał się krótko, a potem odjeżdżający pociąg zagłuszał resztę dźwięków.

— To nie powinno być tylko tło — powiedziałam.

— Co?

— Ten moment. Śmiech, potem pociąg. Jest w nim więcej niż w całym pańskim opisie.

Florian nachylił się nad ekranem. Nie dotknął mojej dłoni ani nie próbował przejąć tabletu. Po prostu przesunął się bliżej, żeby lepiej widzieć zaznaczony fragment.

— Ma pani rację.

— Proszę tego nie mówić zbyt często. Przyzwyczaję się.

— Niebezpieczna perspektywa.

Spojrzeliśmy na siebie przez krótką chwilę. Nie wydarzyło się nic, co można byłoby nazwać szczególnym. Żadnego gestu, który wymagałby interpretacji. A jednak po raz pierwszy pomyślałam, że Florian może być ciekawszy, niż sugerował jego zawodowy profil.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, nie podpisaliśmy umowy ani nie ustaliliśmy ostatecznej ceny. Zabrałam notatki, skopiowałam materiały na własny dysk i poprosiłam o przesłanie brakujących plików. Florian odprowadził mnie do drzwi.

— Dziękuję za przyjazd — powiedział.

— Dziękuję za pokazanie materiałów. Teraz przynajmniej wiem, z czym mam do czynienia.

— I jaka jest pani decyzja?

— Nie podjęłam jeszcze żadnej.

— Rozumiem.

— Ale nie wykluczam współpracy.

— To więcej, niż miałem rano.

Założyłam płaszcz i poprawiłam pasek torby.

— Niech pan nie będzie zbyt zadowolony. Nadal nie zamierzam przenosić się do Wrocławia.

— Nie proponowałem pani przeprowadzki.

— Jeszcze.

Zaśmiał się cicho.

— Do zobaczenia, pani Ofelio.

— Do widzenia, panie Florianie.

Kiedy wyszłam na ulicę, wyciągnęłam telefon i sprawdziłam godzinę. Miałam wystarczająco dużo czasu, żeby zjeść coś przed powrotem na dworzec. Powinnam była czuć satysfakcję, że spotkanie przebiegło zgodnie z planem. Zamiast tego myślałam o jednym zdaniu, które powiedział przy stole: że nie chce osoby realizującej listę zadań, tylko kogoś, kto rozumie projekt.

Nie wiedziałam jeszcze, czy to komplement, czy zapowiedź trudnej współpracy.

Wiedziałam natomiast, że nie pojechałam do Wrocławia na darmo.

Rozdział 2 - Zanim ustalimy zasady

Nie wróciłam od razu na dworzec.

Po wyjściu ze studia przeszłam kilka ulic, szukając miejsca, w którym mogłabym spokojnie przejrzeć notatki i zjeść coś przed podróżą. Wrocław był mi znany na tyle, żeby nie czuć się w nim zupełnie obco, ale nie na tyle, żebym miała swoje ulubione miejsca. Wybrałam niewielką kawiarnię przy bocznej ulicy. W środku pachniało świeżo mieloną kawą i cynamonem, a przy oknie stały dwa wolne stoliki. Zamówiłam herbatę i kanapkę, po czym rozłożyłam materiały na blacie.

Zawodowo spotkanie oceniłam dobrze. Florian znał swój projekt, rozumiał jego ograniczenia i nie próbował narzucać mi gotowych rozwiązań. Był jednak przyzwyczajony do pracy w swoim rytmie, a jego oczekiwania dotyczące obecności w studiu wymagały doprecyzowania. Nie zamierzałam przyjmować zlecenia, w którym każde spotkanie miało być negocjowane od nowa.

Zaczęłam zapisywać możliwe etapy współpracy. Pierwszy — analiza materiałów i opracowanie kierunku wizualnego. Drugi — prezentacja dwóch koncepcji. Trzeci — wybór jednej i przygotowanie systemu. Potem adaptacje, szablony, okładki odcinków i materiały promocyjne. Wszystko dało się rozpisać tak, żeby nie wymagało ode mnie nieustannej obecności w drugim mieście.

Telefon zawibrował.

Florian: „Mam nadzieję, że nie uciekła pani od razu na dworzec. Chciałem zaproponować jeszcze jedną rozmowę, tym razem bez monitora pomiędzy nami. Jeśli ma pani czas, zapraszam na późny lunch”.

Przeczytałam wiadomość, odkładając długopis.

Nie było w niej nic niestosownego. Spotkanie dotyczyło współpracy, a wspólny posiłek mógł być zwyczajnym sposobem na kontynuowanie rozmowy. Mimo to wyczuwałam różnicę między zaproszeniem do studia a tym, które właśnie otrzymałam. Tamten czas był przeznaczony na projekt. Tutaj Florian proponował spotkanie, w którym nie musieliśmy siedzieć naprzeciwko tych samych dokumentów.

Odpisałam, że mogę poświęcić mu godzinę.

„Znam miejsce niedaleko. Podeślę adres".

Nie minęło pięć minut, kiedy otrzymałam lokalizację. Restauracja znajdowała się kilkanaście minut spacerem od kawiarni, więc zapłaciłam za zamówienie i schowałam notatki do torby.

Florian czekał przy wejściu. Tym razem nie miał podwiniętych rękawów. Założył ciemną marynarkę na koszulę, ale wyglądał mniej formalnie, niż mogłabym się spodziewać po takim zestawie. W jednej dłoni trzymał telefon, drugą wsunął do kieszeni.

— Zdążyłem pomyśleć, że zmieniła pani zdanie.

— Nie miałam powodu.

— To dobra wiadomość.

— Niech pan nie wyciąga zbyt daleko idących wniosków. Mam po prostu godzinę.

— Będę się pilnował.

W środku było spokojnie. Wybraliśmy stolik przy ścianie, z dala od wejścia. Florian zamówił wodę i kawę, ja zdecydowałam się na makaron z warzywami. Przez pierwsze kilka minut rozmawialiśmy o podróży i pogodzie.

Dopiero kiedy kelner przyniósł zamówienie, Florian odłożył telefon i spojrzał na mnie.

— Chciałem zapytać o jedną rzecz. Czy naprawdę nie lubi pani pracować z ludźmi na miejscu, czy po prostu nie lubi, kiedy ktoś oczekuje, że będzie pani dostępna na każde wezwanie?

Nie spodziewałam się takiego pytania.

— To drugie.

— Mogłem się domyślić.

— Dlaczego?

— Podczas spotkania kilka razy mówiła pani o własnej pracowni. Nie w sposób, w jaki ludzie opowiadają o miejscu pracy. Raczej jak o czymś, czego nie zamierzają oddać.

Przez chwilę obracałam widelec między palcami.

— Bo długo zajęło mi zbudowanie tego, co mam. Wcześniej pracowałam w agencji, w której każdy projekt miał pięciu właścicieli i żadnego odpowiedzialnego człowieka. Można było spędzić trzy dni nad koncepcją, a potem dostać wiadomość, że ktoś zmienił zdanie, bo jego znajomy uważał inny kolor za bardziej nowoczesny.

— Brzmi znajomo.

— Kiedy zaczęłam pracować na własny rachunek, obiecałam sobie, że nie będę już budowała kariery wokół cudzych zachcianek. Mogę współpracować, mogę zmieniać kierunek, mogę nawet przyznać, że ktoś ma lepszy pomysł. Ale nie chcę, żeby moja dostępność była traktowana jak oczywistość.

Florian skinął głową.

— Rozumiem to bardziej, niż pani myśli.

— Pan też pracował w agencji?

— Nie. Ale przez kilka lat pracowałem przy projektach, w których wszystko zależało od tego, czy potrafię być w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Z czasem zacząłem mieć wrażenie, że moje życie składa się z cudzych terminów.

— I dlatego stworzył pan własne studio?

— Między innymi. Chciałem mieć wpływ na to, co robię i z kim rozmawiam. Tylko że własna działalność ma tę wadę, że kiedy coś pójdzie nie tak, nie ma na kogo zrzucić odpowiedzialności.

— To akurat brzmi uczciwie.

— Nie zawsze jestem z tego zadowolony.

Uśmiechnęłam się, a on odpowiedział podobnym gestem. Było w nim coś, co zaczynało mi się podobać. Nie próbował przedstawiać własnych decyzji jako pasma sukcesów. Mówił o nich bez przesadnej skromności, ale też bez potrzeby udowadniania, że wszystko miał pod kontrolą.

— Wróćmy do projektu — powiedziałam, wyjmując notes. — Mam kilka propozycji dotyczących organizacji pracy.

— Słucham.

Przedstawiłam mu wstępny podział etapów. Zaproponowałam, żeby pierwsze dwa tygodnie przeznaczyć na analizę nagrań, rozmowę o odbiorcach i opracowanie kierunku wizualnego. Następnie przygotowałabym dwie koncepcje, z których wybralibyśmy jedną. Po akceptacji przeszlibyśmy do budowania systemu identyfikacji, który można byłoby rozwijać przy kolejnych odcinkach bez każdorazowego projektowania wszystkiego od początku.

Florian słuchał uważnie.